№ 14. 6. Kwietnia 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: »**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**«

Joachima Lelewela

»Wykład dziejów powszechnych« Tomów 4. Wrocław 1850. *)

Z wymienioném tu dziełem nie wiąże się żadna z owych okoliczności, które świeżo wydanym książkom zwyczajnie nagły rozgłos zyskują. Nie zawiera ono nowych uderzających teoryj, nie dotyka bezpośrednio dzisiejszych zdarzeń i ludzi, występuje w skromnym kształcie podręcznej naukowej, prawie szkolnej książki — a przecież jak autor wieloletnością i ważnością swych zasług literackich zajmuje niemal pierwsze miejsce w umysłowej radzie narodu, w literaturze, tak też obecne dzieło jego należy niezaprzeczenie do najistotniejszych jej ozdób.

Zaiste, nie przesada patryotyczna z nas przemawia, gdy powiémy, że z trudnością szukalibyśmy w jakiejkolwiek z literatur europejskich tak znamienitej postaci literackiej, jaką w naszej ojczystej jest Lelewel. Z ilużto różnych względów należy mu się wdzięczność publiczna! Ileżto różnych tytułów do czci publicznej, z których każdy z osobna byłby już dostatecznym do uświęcenia czyjejś pamięci, skupił on w swojém imieniu! Żarliwy w pokoju i w boju obywatel, nauczyciel, który na tak różnych stanowiskach, w Krzemieńcu, w Wilnie, w Warszawie, najwalniej do wykształcenia całej dojrzałej dziś warstwy narodu przyłożył się; uczony, który swoją uczonością nie tylko na ojczystą, lecz nawet zagraniczną oświatę umiejętną zaszczytnie wpłynął; Nestor literatury, który w przeciągu czterdziestu kilkuletniego zawodu literackiego trzy pokolenia narodowe swojém światłem ogrzewał i ogrzewa; człowiek nieposzlakowanej śród tylu zawikłań, stronnictw, podejrzeń, — prawości charakteru, nareszcie od lat dwudziestu wygnaniec pełen niezłomnego hartu duszy i starożytnej cnoty — stoi on w świętym gaju naszej literatury jak dąb stuletni, świadczący swoją ciągle zieloną, niczem niespożytą czerstwością o potężnej żyzności gruntu, który go wydał, świadczący nieskażoną swą rdzenią o nieskażoności żywotnej siły narodu, którego sokami żyje. —

Owoż jednym z mnogich owoców tego życia, jednym z najjędrniejszych wyrazów myśli narodowej, wyrażającej się przez usta literatury, podaje nam teraz Lelewel swój „Wykład dziejów powszechnych.“ Szkolne, jak się zdaje przeznaczenie tego dzieła, lub może trudność podjęcia większego nakładu drukarskiego, skłoniła autora do zakreślenia swemu dziełu szczupłego obrębu czterech nie wielkich tomów. Lecz ta ciasnota ram posłużyła do tém świetniejszego spromienienia całej zawartej w nich treści, do tém jędrniejszego wyłuszczenia przedmiotu. Znamy większą część podobnych dzieł zagranicznych, lecz od filozofii historyi Hegla do dwojakiej w tym zawodzie pracy Micheleta, nie znamy żadnego, któreby w tak szczupłym obrębie tak wszechstronnie, tak realnie swój przedmiot wyczerpywało. Zagraniczne tego rodzaju i obrębu utwory, bywają zwyczajnie wyrobami talentów pośledniejszych, mającemi zaledwie mechaniczną użyteczność, albo, jeźli mistrze podobnego zadania tkną się, bywają w powszechności tylko konstrukcją wyobrażeń tego lub owego mistrza o historji powszechnej, filozoficzną konstrukcją dziejów powszechnych Hegla, świetną na temat historji uniwersalnej fantazją Micheleta, lecz nie historją. — Kto w takowych filozoficznych lub fantastycznych

*) Cena Złr. 6 kr. 40.

konstrukcjach przedewszystkiém smakuje, tego zapewne surowy wykład Lelewela nie zadowolni; wszelako komu o realne, byle loiczne i konsekwentne a tém samém organiczne przedstawienie prawdy dziejowej chodzi, ten wdzięczen uzna, iż z mistrzów dziejopisarstwa Lelewel pierwszy jął się tak krótkiego, zwięzłego lecz wszelkim wymaganiom dziejopisarskim odpowiadającego skreślenia historji uniwersalnej. Jakoż kreśli on ją pod wszelakiemi względami, zapatrując się na nią okiem wszechstronnego poglądu, okiem doświadczonego badacza, polityka, humanisty, a w ustępach, zbliżających powszechny prąd dziejów do naszej ziemi ojczystej, okiem Polaka, poświęcającego większą niż zwyczajnie w zarysach historyi uniwersalnej, uwagę wiążącym się z nią dziejom własnego narodu. Realność przedstawienia nie dopuszcza wprawdzie oświetlania przedmiotu ukośnemi połyskami romantycznych, sentymentalnych uwag, domysłów, przeczuć — szczupłość obrębu nie dozwala niestety szczegółowego obrazowania wypadków—jednakoż wszędzie ogół różnostronnych wypadków sprowadzony ostatecznie do pewnego moralnego rezultatu, na wszystkie prawie okresy historyczne pada z bystrego skoncentrowania wypadków nowe światło, a nawet poszczególną historję polską wzbogaca „Wykład“ nie jedném trafném i nowém postrzeżeniem. Najwyborniej skréślonemi zdały nam się w historji starożytnej — przedstawienie przedrzymskiej roli rzeczypospolitej kartagińskiej — przedstawienie powszechnej w 5^{ym} w. walki greczyzny z przeciwnemi sobie żywiołami wschodu, Persami, i zachodu, Kartagińczykami; a w historyi nowożytnej: rozwinięcie się nowożytnego wschodniego i zachodniego świata z upadku powszechnej rzeszy rzymskiej i ucharakteryzowanie opozycyjnej roli Francji w obec Hiszpanji i cesarstwa w czasie rozszczepienia się chrześcijaństwa zachodniego i wojny trzydziestoletniej. Najsłabszym, bo zawiłością wyrażenia się niezadawalniającym, mniemamy Wstęp, określający naturę historji, chronologji i historyki. Jako najznamienitszą zaletę całej pracy — w ogólności wszystkich poza obręb wyłącznego badawnictwa wychodzących prac naszego uwielbionego mistrza — cenimy użytkowy cel jej skreślenia nie w ten sposób, aby tylko połechtała uczuciowość i wyobraźnię małej garstki rozbujałych umysłów, a owszem, aby posłużyła ku realnej nauce dla całego dojrzałego i dojrzewającego narodu. Lecz trzeba się jej uczyć. Trzeba poprzestać być dziećmi umysłowemi, żądającemi pokarmu mleczkowego, któryby się słodko na ustach sam rozpływał. Na takim pokarmie nigdy się nam zęby nie wykolą— a nam przedewszystkiém potrzeba urość w znamię herbu Batorych! —

Jerzy Lubomirski

MARSZAŁEK W. HETMAN POLNY K. STAROSTA KRAKOWSKI.

(*Wyjątek z przedmowy do drukującego się dramatu tegoż samego nadpisu*)

W pochwalném wyliczaniu wielkich mężów narodu zdarza się bardzo rzadko zasłyszéć imię Jerzego Lubomirskiego. Niekiedy pada nań nawet kamień potępienia, jako na wichrzyciela ojczyzny. Lecz podobna obojętność w uznaniu zasług, podobna skwapliwość w potępianiu, bywa niestety zbyt często tylko czasowych uprzedzeń skutkiem.

Stanowczym powodem do odmówienia Lubomirskiemu należytej wdzięczności za przeważny udział w ocaleniu ojczyzny podczas szweckiej za Jana Kaźmierza burzy, w której, jak się spółczesny X. Albrycht Radziwiłł, w. kanclerz litewski, w swoich Pamiętnikach, t. II, str. 487, wyraża — „po panu Bogu Lubomirski słusznie może się nazwać restauratorem wolności i tronu królewskiego — “ jako też do nader porywczego rzucenia nań kamieniem, była „nieszczęsna“ jak ją E. Raczyński w przedmowie do Pamiętników Paska mianuje „wojna domowa którą Lubomirski na Polskę ściągnął.“ Jakoż w istocie, od czasu utrwalenia się u nas w drugiej połowie zeszłego wieku francuzczyzny, a z nią przekonania i stronnictwa monarchicznego, które nas obdarzyło królem Stanisławem Augustem, a nie dozwalając poprzeć skutecznie konfederacji barskiej, jako anti królewskiego zamachu, podało nas wreszcie na łup narodów — od czasu *sejmu wielkiego*, o którym dziś n. p. sam katolicki, bynajmniej o demagogizm nie posądzany, owszem

o jezuityzm, reakcyjność winiony, w rzeczy zaś światły „Przegląd poznański“, w zeszłorocznym zeszycie VIII, str. 244, powiada, że „ograniczył narodowe swobody, szedł przeciw naszemu historycznemu podaniu, ustanowił dziedziczną konstytucyjną monarchię, nie dającą nam wcale zbawienia, skusił do popełnienia przeniewierstwa bez żadnej korzyści“ i t. d.— od tego mówię czasu, dość było wyczytać, że ten albo ów z wielkich mężów narodu podniósł rokosz przeciw królowi, aby nie wchodząc w bliższe sumienne rozpoznanie sprawy przyznać z góry wszelką słuszność królowi, pokonanego zaś lub zwycięzkiego wodza rokoszu posądzić natychmiast o interes prywatny, potępić w opinii publicznej i w księdze dziejów jako wichrzyciela i winowajcę. Taki to los padł w Niemcewica Historyi panowania Zygmunta III. dawniejszemu jeszcze od Lubomirskiego wodzowi rokoszu, czczonemu od wielkiego Zamojskiego, gdyż opiekunem jego małoletniego syna i exekutorem testamentu wyznaczonemu wojewodzie Żebrzydowskiemu — acz zadośćuczynienie świętym żądaniom rokoszan, mianowicie żądaniu położenia tamy wszczynającym się prześladowaniom religijnym, prześladowaniu kościoła greckiego, byłoby wykorzeniło z gruntu zaród przyszłych nieszczęść kozackich, byłoby niewątpliwie zbawiło naród — acz np. jedno słowo nieszczęśliwego hetmana Żółkiewskiego, pogromcy Żebrzydowczyków pod Guzowem, zapisane ręką spółczesną w wydanych przez K. Wł. Wojcickiego Pamiętnikach do panowania Zygmunta III. tom 1, str. 5, słowo sobie samemu przez hetmana czynionego zarzutu, iż „przeciwko sumieniu stawał przy królu, na bracię wojując“ w cale nowém świetle sprawę rokoszującego wojewody maluje. Takiż sam los przyćmił też blask imienia Lubomirskiego. Lada kto, choćby nawet prawo do gruntownej znajomości dziejow ojczystych rościł, słysząc tylko, że Lubomirski oręż przeciw królowi podniósł, przestawał na samym obowiązku pobożnego wzdéchania nad winą „zapamiętałego magnata“ a uniewinniania i litowania króla. Posuwano się w tém do prawdziwej śmieszności. J tak np. uczony wydawca Pamiętników Paska poczuwa się do wyraźnej powinności, wspomniéć w przedmowie do tegoż dzieła, na chwałę swego autora, że „w nieszczęsnej wojnie, którą J. L. na Polskę ściągnął, Pasek wierny swemu królowi, obstawał za jego sprawą.“ Tymczasem sam Pasek mówi w tejsamej książce (edycya druga, poznań 1837, na stronie 190) o tém swojém „obstawianiem za sprawą króla“ jak następuje: „wyprowadził król wojsko w pole dosyć dobre i porządne. I ja też musiałem być, choć mi się nie chciało, regalistą, (rojalistą) bo chorągiew moja w tém tam była wojsku. Ale po staremu, chociażmy tu byli, tośmy tamtej stronie bardziej wygranej życzyli, widząc krzywdę Lubomirskiego, a w jego osobie krzywdę całej ślachty.“ Jakoż wierny — nie królowi, lecz takiemuż przekonaniu własnemu, wyznaje Pasek dalej str. 198 „postrzegłszy, iż Lubomirczyki mieli znaki, to jest lewą rękę chustką związaną „ja też, skoro poczęto bardzo golić, przewiązałem sobie rękę nad łokciem, i nie bardzo od nich stroniłem.“ Owoż ile prawdy znajduje się w przytoczonej tu pochwale regalistowskiej cnoty Paska, tyle jest jej także w zwyczajném przyganianiu Lubomirskiemu występku podniesienia oręża przeciw królowi. Można przekonać się o tém z najpobieżniejszego roztrząśnięcia sprawy naszego bohatéra.

Powszechnie wiadomo, że jedynym powodem tej całej sprawy było sprzeciwienie się Lubomirskiego stanowczemu króla i królowej projektowi przywiedzenia do skutku elekcyi księcia Kondeusza za życia Jana Kaźmierza. Taki projekt był najjawniejszém złamaniem przysięgi, jaką wszyscy nowoobierani królowie, a z nimi i Jan Kazimierz, zapewniali narodowi kardynalne prawo wolnego wyboru królów, poszczególném każdego nowego króla zaręczeniem, iż nigdy o podobnym projekcie myśléć nie będzie. Przypuściwszy więc nawet, iż projekt taki byłby w istocie użytecznym, czego przecież ani z zasady ani ze względu na właściwe ówczesnemu królewskiemu zamysłowi okoliczności przypuścić nie podobna, przychodziło wątpliwą jego użyteczność zważyć na szali z niewątpliwą bynajmniej szkodą, jaką każdy grzéch publiczny koniecznie z siebie rodzi, zważyć ze

sromotą sprzeniewierzenia się króla swojej przysiędze, a narodu swojej, od tylu wieków pielęgnowanej zasadzie. W takim składzie rzeczy jak żaden prawy, sumienny charakter ani chwilę nie wątpi, tak też nie wątpił prawy charakter narodu. Cały naród zganił jednogłośnie projekt królewski, zganił go też Lubomirski. A że Lubomirski, od czasu wojny szweckiej „pierwszy po panu Bogu restaurator wolności i tronu królewskiego,“ w publiczną też za to nagrodę w zgromadzeniu sejmowém od samego nieprzyjaźnego sobie kanclerza Prażmowskiego najwyższą nazwą „ojca ojczyzny„ uczczony, nadto świeżemi zwycięstwami nad Jerzym Rakocym, nad Moskalami pod Cudnowem, nad kozactwem pod Słobodyszczami, słynący — „gdzie się tylko pokazał ledwie nie na ręku od szlachty noszony“ (Pasek i współczesna Historja panowania Jana Kaźmierza wyd. Ed. Raczyńskiego)— był bezprzecznie pierwszym *obywatelem* królestwa, więc przeciw niemu to głównie oburzył się gniew królewski.

(Dokończenie nastąpi.)

Tomko Prawdzic.

Wierutna Bajka

przez

J. I. Kraszewskiego.

. . . . Rzekł mu Piłat: Co jest prawda?
S. Jan. Rozdz. XVIII. w. 38.

? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ?
Epigraf z niewydanej rozprawy
o Filozofji przez X. X.

I.

Żaden wielki człowiek nie urodził się jeszcze bez zwiastujących go światu przepowiedni -- jest to rzecz dowiedziona. Celem tych proroctw, które się dopiero najjaśniéj tłumaczą, gdy ich tłumaczenie na nic się już nikomu nieprzydało, jest zapewne: świat uprzedzić, aby go bohater z nienacka nie zszedł, i palpitacją serca nie nabawił.

Czytajcie Plutarcha, Korneliusza Neposa, lub zresztą jakiekolwiek żywoty sławnych ludzi dawnego autoramentu, a przekonacie się, że każdy z nich oznajmił się we śnie, na jawie, jakiém symboliczném marzeniem, lub brzemiennym w znaczenia wypadkiem. Starożytni, których przywykliśmy szanować, nie puścili w świat żadnej biografji bez tego nagłówka; my po części ich naśladując, po części dla tego, że niechcący im jesteśmy podobni jako ludzie, po części dla tego, że choć nie powinniśmy troche zawsze wierzym jeszcze w przeznaczenie; my także utrzymujemy jak oni, że wielkich ludzi kolebka cudami się otacza, i wpatrujemy się w jutrzenkę, gdy nam oznajmią o mającém wschodzić słońcu.

Nasz także bohater — —

Ale nie powiedzieliśmy jeszcze o tém, że mamy dla was bohatéra w kieszeni.

Stójmy więc, a wprzód nim opiszemy jak on się światu zapowiedział; wyłuszczmy *more antiquo* i przez uszanowanie dla samej Logiki, kto on był i z kogo się rodził.

Procedencja bohatéra jest rzeczą wielkiej wagi, już dlatego, aby rzeczywistą jego exystencję dowiodła tym, którzy gotowi w nią uwierzyć; już żeby nasza klejnotna szlachta nie krzywiła się sądząc, że ją częstujemy jakimś szerepetką, który wypadł sroce z pod ogona. — Darujcie mi to wyrażenie, nie jest ono nasze i nie pierwszy się raz drukuje, mamy za sobą powagę autora Soplicy, który także nie wypadł sroce z pod ogona.

Zacznijmy więc od procedencji, genealogji i zwykłego wstępu. —

Na poczciwej Litwie, którą powszechnie mają za mniej ucywilizowaną od reszty tego światka, którego była niegdyś częścią, żyła zacna rodzina Prawdziców. Biedna nasza Litwa, że trochę przeciągle wymawia, że często dorzuca *da*, że nie muska czupryny wymyślnie używając zamiast grzebienia pięciu swych palców, a jeździ kałamaszkami, wszyscy ją mają powszechnie za mniej ucywilizowaną. Boże odpuść potwarcom! dla nich cywilizacja cała w krawieckich nożycach, tancmistrzowskich krygach i wiedeńskich koczach.

Na Litwie tedy żyli państwo Prawdzicowie. Wiécie bez pochyby, że to stary ród szlachecki? Wszakże musieliście czytać herbarz przynajmniej Niesieckiego pod pretextem historji a w istocie dla tego, że teraz znowu w modzie herby i herbarze. Wiécie więc, że herb Prawdzic (tak nazwany dlatego, że prawdy w podaniach o nim dopytać się trudno) pochodzić ma z Dacji, i że na nim wyobrażony jest Lew. Nie Lew, jaki bywa po prostu w naturze, ale ów konwencjonalny heraldyczny lewek z wywieszonym języczkiem, z zakręconym wytwornie ogónkiem, ufryzowany starannie i umiejący służyć na dwóch łapach jak szpice. Ten Lew, mówi Jezuita Niesiecki, trzyma w łapach *Prawdę*, a ta prawda jest żelazna!

Zakrzyczycie mnie pewnie pytaniem jak wygląda owa prawda? co to jest prawda? Ale stójcie! Ta żelazna Niesieckiego prawda wyglądająca na kształt obwarzanka (kształt symboliczny) jest z rodzaju stołowych prawd, co to je kładną pod butelki i szklanki, aby dobrze wychowani ludzie nie poplamili dobrze wypranego obrusa. Jest to tedy tylko

podstawkowa, nędzna, biedna prawda, o którą i pytać nie warto.

Prawdzice zaś wywodzą się od owego Androklesa (zobacz w wypisach na klasę drugą) którego nasz Niesiecki przezwał Androdem, a który w Afryce Lwa uleczył, za co Lew wspaniale mu się odwdzięczając, pocałował go potém w rękę przed prokonsulem i zgromadzonym ludem. Prokonsul zaraz jako człek domyślny (pisze Okolski, który o tém wié najlepiej, bo mu to krewni bliscy Androklesa rozpowiadali) *stante pede*, nadał nie tylko Lwa na własność Androklesowi, ale mu go za herb przyznaczył mówiąc: Słuchaj chłopcze! Jak herbów zaczną używać, co ja już przeczuwam, twoi potomkowie będą mieli gotowy.

Androkles ukłonił się, schował nadanie do pugilaresu i na tém się skończyło.

A że wszystko to *nieprawda*, potomkowie Androklesa, którego na świecie niebyło, zowią się Prawdzicami. Zdaje się logicznie.

Tych Prawdziców nietylko u nas w Polsce, ale po całej Europie pełno było: Meninowie w Etrurji, Hrabiowie de Dinheim nad Renem i t. d. wszystko to Prawdzice, Androklesowicze. Któryś z tych Lwów, ożenił się z dziedziczką (herbowną) czerwonego muru: odtąd mur czerwony zakrywający pół Lwa (dla przyzwoitości) zjawił się na herbie.

Któryś z nadreńskich Dinhejmów znowu, ożenił się z córką Jana Prawdy hrabi na Szczawinie i Trąbkach, sędziego ziemskisgo Gostyńskiego; a gdy dawano w łapy Dinhejma pannę Prawdziankę, włożono i w łapy herbownego Lwa prawdę, aby jego także czémś zaspokoić. Z tąd konfiguracja herbu, jaką ją dziś szczęście mamy oglądać. Lew tylko jakby nierad z owej niepożywnej żelaznej prawdy, skrzywił się zaraz i dotąd się krzywi.

Prawdzice pisali się z Trąbek, z Łabiczyna, z Golczewa, ze Szczawina, a tak się z czasem rozmnożyli (*coelo favente*) że z nich wyrosło kilkadziesiąt familji. Nasi Prawdzice mieli przydomek Łaszczów, a któż z was znowu niewié, że pierwszy Łaszcz za Zygmunta III. podgolił sobie czuprynę?

Był to wypadek na pozór drobny, ale ogromne mający w istocie znaczenie: pierwszy co sobie łeb podgolił, czuł że ta moda odpowiadała potrzebie wieku, że już za Zygmunta III. ledwie trochę czuba różniło nas od mieszkających u Bonifratrów. Wiek Zygmunta III. i symboliczny Łaszcz poczynają epokę upadku. Niestety! trwał jeszcze dla podgolonych czupryn mięsopust długo, a prawnukom dopiero zostały — popiół i śledzie.

Stary pan Prawdzic miał imię Bartłomiej; śliczne imię hreczkosieja, imię, z którém złym gospodarzem być nie można, bo ci nieustannie przypomina, że na imieniny pierwsze żytko posiać powinieneś.

On był Bartłomiej, ona miała imię Hanna. Jejmość równie dobra szlachcianka rodziła się z Leliwy, a po ojcu używała Roli (na pieczątce, gdyż ojciec niezostawił jej ani zagona); nazywała się nawet Rolanka. Poczciwy to był ród.

Dziwnym składem okoliczności, matka Prawdzica starego była z domu Krojów (alias Lemiesz choć to nie wszystko jedno) co wedle niektórych dowodziło nobilitację od pługa, na co nosy krzywiono, wołąc gryfy i jastrzębie od poczciwego pługa, dającego chléb i znaczącego pracę!

Mówię wam zaprawdę, że nie darmo nasi herbologowie zwłaszcza Okolski, mówią zawsze o charakterze rodów — o! niedarmo!

Ludzie co nosili w herbach Rolę, Kroję, z ojca w syna byli gospodarzami. Wyrwał ci się niekiedy i z tego spokojnego gniazda zawadyja, paliwoda, rębacz, wojak, ale to ogólnego nie łamało prawidła: dóm przecie był gospodarski.

Macie tedy już do sytości o przodkach i antenatach, może nawet za wiele, ale nie chciałem pozostać w tyle od innych historyków naszych, którzy do żywota bohatéra bez tego wstępu, jak do obiadu bez kielicha wódki przystąpić nie umieją.

Dla czegożby doprawdy życie dziadów nie miało w pewien sposób objaśniać historji wnuków. Wszak dowiadujecie się, kto rodzi konia, gdy go do stada kupić macie, pytacie się także, jaka krew w jego żyłach płynie? I myśmy trochę konie pod pewnémi względami.

Nasi przodkowie dają nam narzędzia, któremi dusza od Boga zesłana ma się światu objawić. Ważne są i one (ja zupełnie pojmuję dla czego starożytni jacyś prawodawcy krzywe i słabe dzieci topić kazali jak kocięta) — Arystokraci nasi mają wielką słuszność, że się z przodków chlubią: mięso, ciało, bydlęcą swą część są im przecie winni; boć spodziewam się, że nie myślą im dziękować za duszę, którą Pan Bóg jednaką i równą każdemu daje.

Bartłomiej Prawdzic, dożył naszych czasów w świętej prostocie, świętej wierności, niewinności i pokoju, a obrzydzeniu tych szatańskich inwencji, któremi młodsze pokolenie zachwyca się jako postępem.

Miał on na Litwie wioseczkę jak wszystkie nasze: z jednej strony lasy, z drugiej błota i sianożęcie, środkiem poletki i wioska z dwudziestu złożona chatek, czarnych, dymnych, niskich, biednych. W końcu jej stała karczemka i kościółek, dalej nieco dworek w drzewach starych, prawdziwy dworek szlachcica. Około niego lamusik i sérnik wysoki, studnia z żórawiem, loch z białą piersią i grzbietem garbatym, stodoła z krzyżami i rokiem budowy wyszytym misternie snopkami na dachu. Dołem przy młynku nad grobelką stała gorzelenka; staroświecka, pochyłona, okopcona, trochę kulawa, a w niej ile kotłów, kociołków, czapek, trąb, swędu, błota, dymu, żydów i satysfakcji!

Wspominamy tu o wszystkich budowach gospodarskich,

o których słowa by rzec nie czuł się obowiązanym innego kraju powieściarz, a to dla tego, że one regulowały i przytykały zewsząd do życia pana Bartłomieja. Coby on robił, gdyby ich tam nie było? gdyby z kąta w kąt nie chodził, nie dreptał, nie gdérał i co się zowie nie gospodarował! Poczciwa pani Hanna miała także swój wydział gospodarski: podwórko ptastwa pełne, motki, płótna, grzyby, jagody, lekarstwa, aptéczkę, przysmaczki, wygodki, kuchnią; do niej wyłącznie należące.

Jak tam czas schodził? wiécie już pewnie. Modlitwy, gawędka cicha i nie namiętna, gospodarska, powolna, z wieśniakiem narada, pomoc w potrzebie dla niego, nabożeństwo— to były jedyne żywioły ich życia. Czasem sąsiad gość, czasem jakieś dziwne i z karbów zwyczajności wychodzące zdarzenie, ożywiały to spokojném korytem płynące *żytko* szlacheckie.

(Darujcie neologizmowi, przebaczcie uwadze że *żyto* musi się tak nazywać, z powodu iż utrzymuje *życie*.)

Bartłomiej Prawdzic ożenił się jak Bóg przykazał, poczuwszy wolę Bożą, jak to dawniej mawiano, bo śmierć i żona — przeznaczona! Ożenił się ani zawcześnie, ani zapóźno, ani z szalonej miłości, ale wedle rodzicielskiej woli i serdecznej inklinacji, biorąc w stanie swym towarzyszkę i dozgonnego *przyjaciela*.

Nasi ojcowi kobiety wynosząc na małżonkę, nie *przyjaciółką* (uchowaj Boże) ale ją zwali *przyjacielem*. *Przyjaciółkami* zwały się kobiety wcale innej kategorji; *przyjacielem* żona, którą w ten sposób na dostojenstwo *męża* a raczej *mężyny* biblijnej wynoszono. Nikła płeć w tém nazwaniu pełném głębokiego a niepostrzeżonego dotąd może znaczenia, szacunek okrywający kobietę, żonę, niedozwalał nawet przed ludźmi o uczuciu z którém my się dziś tak głośno popisujemy, wspominać.

Nazwanie to oznaczało, że brali żony dla przyjaźni nie dla miłości, nie dla płci ich. W tém słówku jest może więcej niż w mnogich rozprawach o obyczajach.

Język! wielka skarbnica narodów! gdyby historja zapomnianą została, jeszcze by główne jej wypadki, jej ducha, z językowych swiadectw odbudować można.

Anna, którą mąż także panną *more antiquo* nazywał (a i to ma głębokie znaczenie) godną była poszanowania i miłości małżonka.

Nigdy niewiasty swiętszej, cichszej, łagodniejszej, skromniejszej, pracowitszej, w złym razie wytrwalszej niewidziano. Żyła cała w mężu i mężem, skinienia jego patrząc by je uprzedzić. Pan Bartłomiej pomimo przywiązania i poczciwości swej miewał czasem chwile cierpkie, gryzły go kłopoty, czyniące niecierpliwym, opryskliwym i przykrym. Ona to wszystko uśmiechem lub słówkiem, które jej serce podyktowało lepiej od najwykwintniejszego rozumowania, umiała uśmierzyć, ukołysać i zbolałe serce ugoić.

Przeżywszy z sobą w stanie małżeńskim lat piętnaście państwo Prawdzicowie, jednego tylko żałowali. Bóg nie dał im potomstwa. Oboje w początku okrutnie na to cierpiąc, gdy się postrzegli, że częste wspomnienie zwiększało ich boleść, przestali o tém mówić, by sobie ulżyć wzajemnie.

Jejmość z uśmiechem, choć łzy miała w sercu, cieszyła się głośno, że dziecka nie miała; jegomość zapalczywie jej ze swej strony wtórował, przywodząc dykteryjki o niewdzięczności dzieci względem rodziców.

Ale co się tam w ich duszy działo!

Modlili się potajemnie, robili woła skryte, suszyli i pielgrzymowali, ale długo nadaremnie. Aż nareszcie po latach piętnastu, jednego poranka gdy razem pili piwo grzane u dębowego stolika z warcabnicą, pani Anna podniosła się, pocałowała w czoło łysawe p. Bartłomieja, i uśmiechając się rzekła:

— Słuchajcie no panie Bartłomieju, mam Jegomości coś dobrego powiedzieć.

— No! no! a cóż to takiego, odezwał się mąż wąsa ocierając, cóż to za rarytas, że się tak moja panno wybierasz by czajka za morze. Musi to być nie lada specjalna nowina.

— Nie mylisz się Jegomość, Bóg dobry obiecuje pocieszyć nas potomstwem.

Któż odmaluje co się stało z panem Bartłomiejem! porwał się od stołu, i zaczerwieniony chwytając żonę w pół, zawołał głosem drżącym.

— Handziu! serce moje, nie żartujesz! na Boga miłego moja panno, wszak nie żartujesz?

— Jakżebym śmiała! a jeszcze w takiej rzeczy! godziłożby się?

Oboje stali chwilkę milczący, jej łzy się potoczyły po twarzy, jemu usta i ręce drżały z radości.

— Przecież Bóg mnie wysłuchał, niech mu będą dzięki! rzekł siadając.

— Ciebie kotku? uśmiechając się odparła Jejmość, chyba mnie? powiedz lepiej, ty ciągle powtarzałeś, że dzieci nie lubisz, że ich wcale nie żądasz. Ja Bóg widzi od lat trzynastu tylko o to się modlę.

— Jejmość! a dla czegoż ciągle powtarzałaś, że to wielki ciężar i wielka odpowiedzialność przed Bogiem kto ma dzieci; że lepiej jest niemieć, niż tracić lub widzieć jak marnie pójdą?

— Mówiłam ci to nieraz, niezapieram, ale

— Ba! rozumiémy się, obojeśmy pobożnie kłamali! Nagadaliśmy sobie siła że niechcemy dzieci, bośmy się ich niespodziewali, a serca sobie rozraniać nie chcieli; ale oboje zarówno ich żądaliśmy. O! złota moja Handziu jakim ja szczęśliwy, jak panu Bogu memu dzięki składam.

— Usiądź że, uspokój się kochanie

— Samabyś siadła moja panno i uspokoiła się, tobie teraz

nawet pewnie stać niezdrowo. Patrzajcie dodał po chwili, będziemy mieli dziécię.

— A! a! a niemylisz się no tylko moja panno!

— Zwiodłam że kiedy Jegomości, spytała żona ze słodką wymówką. Nic przecie dotąd nie wiedziałeś, a to już od czterech miesięcy. Pytałam się znachorek, starej kowalowej i Elżbiety, niéma wątpliwości.

— Jeszcze pięć miesięcy czekać! niespełna pół roku! długo to długo, ależ wyściskam chłopca jak się urodzi!

— A któż ci powiedział że będzie chłopiec!

— Ba! a prawda, szłusznie kochanko mówisz! To jeszcze na dwoje widłami pisano albo albo, proszę, a mnie się zdawało. —

— Bóg jeden wié co nam dać raczy.

— A jabym przysiągł, że syna mieć muszę.

— Nie łapmy ryb przed niewodem.

Pan Bartłomiej zamyślił się, westchnął i dodał:

— Zapewne.

Jakie tam były potém troskliwości, obawy aż do urodzenia potomka, opisać by trudno; Jejmość donosiła dziécię szczęśliwie.

Ale tygodniem przed urodzinami pan Bartłomiej miał dziwny sen. We śnie tym co widział, nazajutrz temi słowy przed miejscowym proboszczem księdzem Sycyną opowiadał:

Nadedniem mości księże kanoniku, zdało mi się jakobym był na szerokiém, bardzo rozległém, ba nawet bez granic i widomego końca, polu. Widziałem wyraźnie wszystkie przedmioty na niém znajdujące się, a była ich moc nieprzeliczona. Wszystko, co na świecie widzimy, o czém słyszymy, tu się razem znajdowało. Zdaleka błyszczał Oceanus, bliżej płynęły rzéki, jeziora biły o piaszczyste brzegi, ryczały zwierzęta dzikie po głębokich ciemnych lasach, bili się ludzie, inni zasiewali pola, inni żęli, pielgrzymowali wielkiemi kupy, płynęli okrętami, budowali miasta, burzyli grody, lub siedzieli nieruchomi nad księgami.

W jednym końcu tej czarodziejskiej doliny świeciło słońce wytrzeszczoném okiem, na drugim wrzała burza sroga. Były tam, jakem wam mówił wprzódy morza, góry niebotyczne, doliny głębokie i ciche a chłodne, puszcze ciemne i piaski arabskie, wszystko to jedno obok drugiego razem zlane w doskonałe *totum*; rzekłbyś księże kanoniku jabłko z jednej strony rumiane, z drugiéj żółto blade.

Gdy stoję, a spozieram ciekawie (boć było na co patrzéć) uważajcie tylko — z piersi mojej, z piersi! mości kanoniku, wychodzi, *znak zapytania, signum interrogationis,*

?

i ani obejrzawszy się nawet w świat rusza.

Znak ten zapytania, miał główkę w jasne włosy ubraną, kij wręku, sakwy próżne na plecach, i smutne jakieś niebieskich ócz wejrzenie. Mimowolnie zająłem się nim, i już tylko nań spoglądałem.

Szedł poważnie, niekiedy zastanawiając się po drodze, od kamienia do kwiatu, od kwiatu do ptaka, do zwierząt, do ludzi, do miast, do siół, do gór i dolin, do rzek i mórz, a do wszelkiego tworu bożego.

Zdawało się jakby je o coś rozpytywał, bo cóżby innego mógł robić znak zapytania? ale ja ani jego głosu, ani dawanych mu odpowiedzi nie mogłem dosłyszéć.

Po każdej niedorzekanej czy odebranej a niedostatecznej odpowiedzi, znak zapytania pokiwał główką, zwrócił oczy w niebo i ruszał dalej. Długo tak poglądałem na to zjawisko osobliwsze, aż nareszcie, gdy znak mój zniknął w oddaleniu, przebudziłem się. Cóż to znaczy mój ojcze? Sen nadto dziwny, żeby miał być nic nie znaczący.

— Sen w istocie dziwaczny, odpowiedział ksiądz Sycyna zamyślając się i zażywając powoli tabaki, sen bardzo dziwny. Ale sen mara, pan Bóg wiara, mój kochany panie Bartłomieju!

— Przecież mój ojcze, bywały sny wieszcze!

— Tak, starożytni bardzo w nie wierzyli, mieli oni nawet jak to panu wiadomu, swoich *Dii Somniales*, Bogów snu, objawiających swe wyrocznie marzeniem; nie bez tego żebyś też pan niesłyszał, że i oni rozróżniali sny przychodzące przez wrota *rogowe* i wrota *z słoniowej kości* to jest wieszcze i fałszywe.

Więcej też jest snów zwodniczych, pochodzących od ciała, od szatana. Wiémy o tém z pisma swiętego, że nieraz Bóg zsyłał widzenia we snach prorocze, ostrzegające, okazujące przyszłość, ale tylko tym, którzy na szczególniejszą jego łaskę zasługiwali.

— Nie pochlebiam sobie.

— Więc lepiej daćby pokój interpretacjom wszelkim, bo w dodatku kochany panie sąsiedzie, jam nie Josephus on, i nie czuję w sobie powołania do snów wykładu. Bóg wié co to znaczy, a najprędzej czysta fantazja i igraszka. Czy nie wpatrywałeś sie Asindziej bardzo wznak zapytania na książce jakiej, czy nie oczytałeś się zbytecznie *nowych Athen?*

— Od niedzieli księże kanoniku w ręku książki nie trzymałem krom kalendarza, kalendarz zaś nie obfituje w znaki zapytania, a *officium* na którém się modlę, także.

— Prawda! a zatém to igraszka imaginacji.

— Jednakże mości księże kanoniku, gdybyśmy spróbowali sobie wykładać?

Ksiądz Sycyna ruszył ramionami.

— Znak zapytania, rzekł, jest sam z siebie rzeczą złą i potępiona. Grzech pierworodny był zuchwałym znakiem zapytania; na nim stoi cała filozofja swiecka, bunt aniołów przeciwko panu Bogu, niczém innem nie był także krom zbrojnym znakiem zapytania. Ciekawość pierwszy stopień

do piekła, a znak ciekawości jest znakiem piekielnego niepokoju duszy.

— Co mówisz ojcze?

— Tak mi się zdaje. To jego szwendranie się po całym świecie waścinym, jak opowiadasz, także nic dobrego nie znaczy. *Dobre* siedzi cicho w kącie, *złe* tylko szuka napróżno spoczynku którego nigdzie znaleść nie może. Tandem plunąć a porzucić.

— Masz Jegomość racją.

I na tém skończyła się rozmowa.

Sen jednak był proroczy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa. Wiadomy jest zapewne Czytelnikom naszym projekt zawiązania towarzystwa wzajemnej naukowej pomocy. Projekt, którego głównym i obecnie prawie wyłącznym popieraczem jest *p. Franciszek Trzecieski,* jest już przedłożony rządowi do potwierdzenia. Pierwsza dyrekcja tego towarzystwa jest już mianowana; ma się składać z *PP. Dzieduszyckiego Maurycego, Gnoinskiego Michała, ks. Jabłonowskiego Karola, Komarnickiego Ludwika, ks. Lubomirskiego, Orłowskiego, Podlewskiego Mikołaja, Skrzyńskiego Ludwika, Smolki Franciszka i Trzecieskiego Franciszka, oraz Piłata Stanisława jako Sekretarza.* —

TEATR.

Chłopi arystokraci. Sztuka ta, a raczej krotochwila nie zasługiwałaby pod względem estetycznym na żadną uwagę: jest bowiem zupełnie ułożona w sposób tak zwanych: „*comédies larmoyantes*", o których znane jest zdanie Szylera: *Wenn sich das Laster erbricht, sezt sich die Tugend zu Tisch.* To jednak, że ma (może mimo woli i wiedzy autora) społeczne znaczenie, czyni ją godną uwagi.

Stosunek bowiem między tak zwanymi komornikami a gospodarzami, i z tąd wynikające starcia w życiu prywatném chłopów, jest po dziś dzień, mniejszej w prawdzie wagi, ale wcale nie obojętnym dla naszej społeczności, szczególnie z powodu rozterek publicznych, jakie na przyszłość ztąd powstać mogą.

Z tego względu, chociaż musimy zaprzeczyć tej sztuce wszelkiej poetycznej wartości co do formy, można jednak pochwalić talent autora w wyborze przedmiotu. Zaiste, wyzucie prawych dziedziców z ich ojcowizny przez komorników, których dawny gospodarz z łaski cierpiał przy sobie; uczynienie tej, która powinna być panią swojej ojcowizny, służebnicą; nareszcie wydalenie jej z domu aby o prawo swoje nigdy się upomnieć nie mogła; takie położenie, jest chociaż nie nowe, ale same przez się już tak tragiczne, i tak łatwo byłoby pięknem tegoż oddaniem przemówić do naszego uczucia i zrobić z niego dramat prawdziwie ludowy i narodowy razem, iż tylko żałować musimy, że się żaden z poetów naszych niespotkał z podobnym przedmiotem.

Tragiczność tego stosunku jeszcze się podwyższa przez to, iż między prawą dziedziczką ojcowizny a synem wydzierców zachodzi stosunek miłosny, który przez jej wydalenie z ojczystego domu ma być niemiłosiernie zerwany. Nakoniec jednak wszystko się załatwia, ojciec prawej dziedziczki wraca z wojny, odbiera swoją ojcowiznę, wydaje córkę za kochanka, a nareszcie nawet przebacza przywłaszczycielom. Przedstawienie żyda jako intryganta, żołnierza jako inteligencję między chłopami; wyniesienie śmiesznej strony we wszystkich tych charakterach, jakoto: w żołnierzu jego przechwałek, w żydzie jego tchórzostwa i łakomstwa, w chłopach samych pijaństwa i pychy; wszystko to są materjały, z których *utalentowany* autor mógłby piękny dramat ułożyć. Wszakże w „*Karpackich Góralach*" nierównie mniejsza rozmaitość charakterów, a jednak czujemy się zobowiązani przeprosić autora „*Karpackich Górali*" zato, że jego dzieło do „*Chłopów arystokratów*" przyrównywamy. Bo tam charaktery występują jako charaktery, tu zaś autor uczynił z wad, z główną treścią sztuki najmniejszego związku niemających, i tylko nawiasem się objawiających najważniejszą część tejże. Tę *arystokrację chłopską* poznajemy tylko z mów i gestów, które właśnie z fabułą sztuki najmniejszego niemają związku. Fabuła sama nosi na sobie właśnie przeciwny charakter, bo ten który odzyskawszy swoją ojcowiznę wydaje córkę za syna wyzutych z wszelkiego posiadania komorników, i w zięciu swoim niczego nie szuka prócz uczciwości, a jego nieuczciwym rodzicom wybacza wszelkie krzywdy sobie wyrządzone, nie jest pewnie arystokratą; również jak jego córka, która niezmienia swego uczucia pomimo tego, że jej kochanek z majętnego chłopaka zchodzi na ubogiego parobka; ani tenże sam parobek, który właśnie wtedy kochał prawą dziedziczkę przywłaszczonej przez rodziców swoich ojcowizny, kiedy dla niego niczém innem nie była, jak ubogą dziewką i służebnicą spanoszonych jego rodziców. Te trzy główne charaktery właśnie są nie arystokratyczne, a tamtych arystokratyzm objawia się tylko w ich mowach i gestach, w działaniu ich zaś główną dźwignią (motywem) jest *chciwość.*

Należało więc było albo sztuce dać inny tytuł, albo do tego tytułu inną napisać sztukę. Słusznie nam można odpowiedzieć, że to tylko „*krotochwila,*" od której nie można wymagać tyle co od dramatu; ale i my słusznie wymagać możemy, aby przedmiot godzien dramatu, nie był obrabiany w krotochwili: chociaż w tém musimy pochwalić autora, że nie pisał dramatu, nie czując się do tego powołanym.

Gra artystów naszych nie pozostawiła w tej sztuce nic do życzenia, i chętnie to przyznajemy, że ich grze dziękować mamy, że chociaż dramatyczną wartość sztuki dość nizko oceniamy, zawsze z większą przyjemnością widzimy podobnego rodzaju swojskie krotochwile na naszej scenie, niż cudze przerobione na nasze, które prócz tego zwykle daleko gorsze są od naszych, jak n. p. „Podróż na około świata" lub podobne, a prócz tego nigdy przez naszych artystów nie mogą być odegrane z tą prawdą, co przez swoich miejscowych n. p. Drezdeńskich lub Wiedeńskich.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej E. Winiarza we Lwowie, przy ulicy krakowskiej pod l. 77.